

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



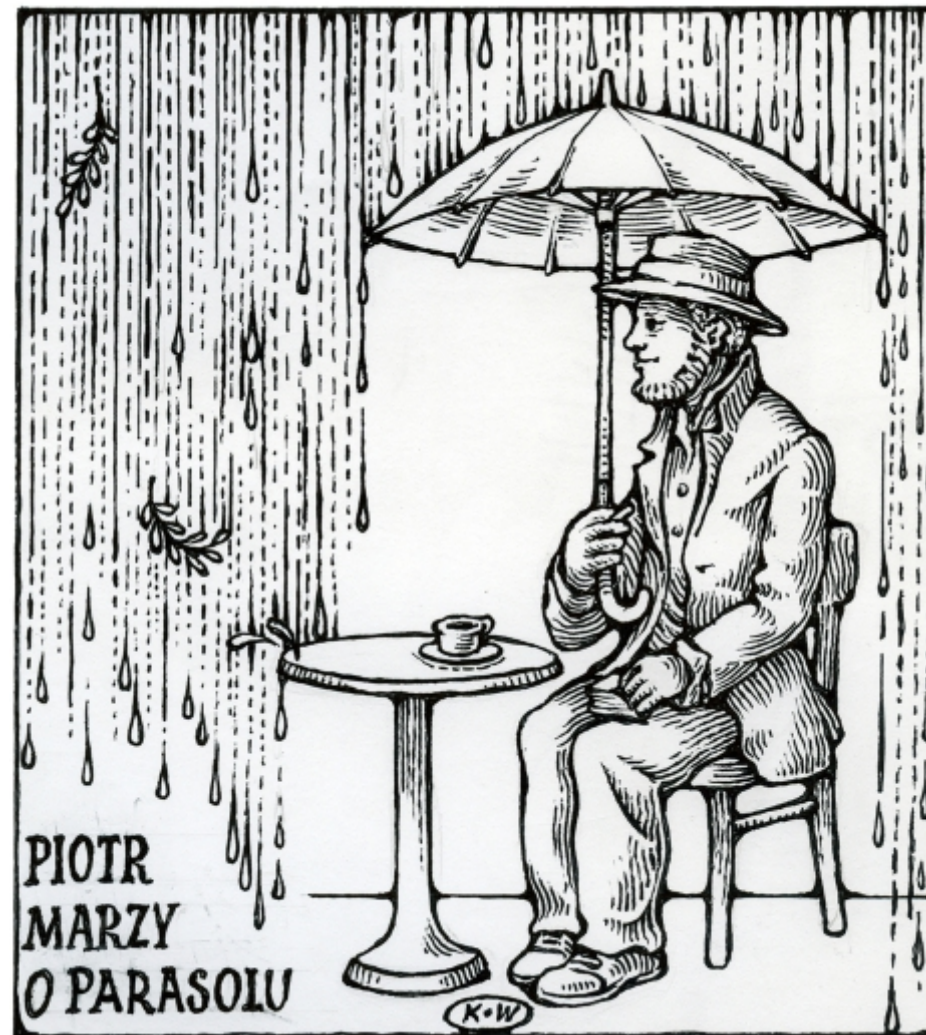
fot. B. Kucharek, W. Morek

JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 9 (178), Kraków, październik 2023

fot. B. Kucharek



rys: Kazimierz Wiśniak

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (132)

Upał



fot: B. Zimowski

Wrzesień za oknem nie pozwolił ani przez chwilę myśleć o jesieni, babie lato nie oplatało mnie ani na ulicy ani na spacerze po Plantach. Ze zmianą klimatu musimy się pogodzić, bo ona po prostu zaistniała. Od pół wieku prawie bywam w Grecji, ale takich upałów jak tego roku jeszcze tam nie przeżyłem. 48 stopni to już przesada, morska woda nie dająca żadnej ochłody, pożary po których nagle zalało pół ojczyzny mojej małżonki. Z pożarem notabene stoczyłem pojedynkę samochodowy. Jadąc głównym traktem greckim – autostradą z północy na południe, zobaczyłem nadciągającą z prawej strony tyralierę ognia. Czy zdążę nim wejść na drogę, którą natychmiast zamkną i każą objeżdżać bocznymi ścieżkami? Żona krzyczała, że się zaraz zgrilujemy, a ja cisnąłem moje wysłużone Volvo do dechy. Udało się. Pozostał zastrzyk adrenaliny i myśl, że w potwornym skwarze jacyś faceci gaszą tę płonące przestrzenie – współcześni herosi. Niech jesień będzie łaskawa.



fot: archiwum

Zasięg naszej gazetki malutki. Ale jeśli ona ma nawet minimalną siłę rażenia, to niech Kochani Czytelnicy, Sympatycy, Optycy i Katolicy ulegną apelowi z serca Krakowa: Trza zagłosować!!! A. S.

Adam Kawa



Jesień w jesionach jesiennieje żółto,
w dębach październik rozżagwił pożogę,
Saro, przeprowadź mnie przez nocy obłęd
i pomóż usnąć

pod rozgwieżdżonym niebem, które luną
gwiazd cicho smuży jakby noc grał Szopen.
Lęk zasłuchany przycupnął pod oknem
w gnieździe jaskółką.

Tyle mi dałaś siebie, choć tak krótko,
a sześćdziesiąty ósmy był złym rokiem,
jeszcze na stacji twój szloch zdusił Szopen
nokturnu nutą.

Jak list jaskółką jesień ci wysyłam.
We mnie od twego wyjazdu wciąż zima.



Krzysztof Pasierbiewicz

Mój Boże! Adam Kawa umarł! Wspomnienie o jednym takim, co ocalał od zapomnienia polski sonet

W poniedziałek, 21 sierpnia 2023, o godzinie 21 odszedł Adam Kawa, mój licealny kolega. Adam był skromnym człowiekiem, więc zamiast pisać bombastyczne epitafium, coś Państwu opowiem.

Otóż, pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku przyjęto mnie w poczet uczniów elitarniej szkoły, nazywanej „Trzecim Męskim Zakładem im. Jana Kochanowskiego w Krakowie”, gdzie słowo „liceum” było źle widziane, a szczytną nazwę „Zakład” zastrzeżono dla „elitarniej”, galicyjskiej szkoły o nad wyraz restrykcyjnym drylu wychowawczym.

W tym kuriozalnym liceum słowo „koedukacja” miało wzbudzać w uczniach, jeśli nie obrzydzenie to przynajmniej politowanie, kpinę i pogardę, a w szkole panował wszechobecny terror oparty o kodeks niezliczonych nakazów, zakazów, kar oraz restrykcji. Tej swoistej tyranii bezwzględnie się poddawali tzw. „celerzy”, czyli jadące na ocenach celujących kujony.

Tych, którzy mnie trochę znają zapewne nie zdziwi, że od owych „politycznie poprawnych” kolegów stroniłem, zaś zaimponowała mi, jak się wtedy mówiło „czarna owca klasowa”, jaką był właśnie Adam Kawa, uczeń niezwykle wrażliwy i tak lotny, że grono nauczycielskie za nim nie nadażało. Zaś jego, jak na tamte czasy „karygodne upodobanie wolności i swobody wyrażania myśli” sprawiły, że szkolna dyrekcja uznała go za ucznia „nierokującego”, - i po dwóch latach, pod pierwszym nadarzącym się pretekstem wyłano niepokornego ucznia ze szkoły, co mnie już wtedy umocniło w przekonaniu, że Adam to niezwykle człowiek.

I rozeszły się nasze drogi. Aż Go po pięćdziesięciu latach odnalazłem, natrafiwszy w księgarni na Jego poetycki tomik. Adam poświęcił się poezji, której oddał wszystko, co w nim było najlepsze i najpiękniejsze. Wyspecjalizował się w sonecie polskim, który moim zdaniem ocalał od zapomnienia.

Nie wiem jak potoczyło się życie Adama, o co go nigdy nie pytałem. Wiem tylko od samego Adama, że spotkał na swej drodze życiowej wielką miłość, nieosiągalną dla większości małżeństw. Sara, tak miała na imię, była studentką polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i jak mi Adam kiedyś wyznał przy wódeczce wielką polską patriotką. Niestety po zawierusze marcowej musiała opuścić Polskę wraz z rodziną. Adam szukał jej w swoich wierszach przez swoje całe literackie życie.

Dla mnie Kawa jest jednym z największych współczesnych krakowskich poetów, a może i więcej. Dlaczego? Bo, jak czytam Kawę, to wiem, że to Kawa. Jak nikt inny rozodrznany, wibrujący, samczy i bezwstydnny, a zarazem ujmująco niewinny i czuły, a co najważniejsze piszący z poczuciem smaku w sensie herbertowskim, - nieprzystający do żadnej ze szkół polskiej poezji.

A życie mnie nauczyło, że tak, jak w nauce, również w sztuce niedający się zaklasyfikować indywidualizm świadczy o samorodnie autentycznym talencie.

Niestety Adam, jako poeta był nie bez przyczyny przez krakowskie środowisko niezauważany. Bo Kraków to piękne miasto, czego nie zawsze można powiedzieć o tworzących miło rozgadane towarzystwo wzajemnego zachwytu nad samymi sobą podwawelskich „elitach”, które pragnąc za wszelką cenę „wzbic się nad poziom”, - okrywają znową milczenia każdego, kto sięga bodaj odrobinę wyżej, niż oni.

Śpij Adamie! I niech Ci się Anioły przyśnią



foto: Szelega

Leszek Długosz

W stronę Adama Kawy - Poety...

Teraz kiedy Go już nie ma pośród nas, z tym większym wyrzutem piszę te słowa. Spóźnione... Spozstrzegałem niezależność, odrębność tego „przypadku” (człowieka i twórcy) ileż częściej niż dawałem temu wyraz. Ceniłem poziom jego twórczości poetyckiej i powściągliwy sposób jego „funkcjonowania”. Rzadko się człowiek zdobywa w porę, na takie „kumplowskie wyznania”. Otóż Drogi Adamie, jak mało o kim można tak powiedzieć - byłeś człowiekiem niezależnym. Nie zabiegającym o giełdy poetyckie, o uznania, profity o tzw. pozycję. Tak samo należy rzec o Twoich wierszach. Nie poddawały się żadnym „szkołom”, modom. Własnym sposobem i językiem poetyckim w swoich wierszach konstruowałeś Świat. Tak może postępować ktoś, kto po prostu znakomicie posługuje się tworzywem, zna wartość tego co stwarza. Kto to jeszcze dostrzegał, wiedział że byłeś Firmą Odrębną. Ocenianą wysoko. W gatunku Twoim - w staroświeckiej formie Sonetu (którym chyba oddychałeś ?) dorzuciłeś jeszcze sporo. Ale dopowiem i do polszczyzny. Jakże ten sonet poszerzyłeś, wzbogaciłeś, zachowując wszelkie formalne klasyczne jego wymogi. Byłeś tak tu w Krakowie, na Rynku (w „Towarzystwie zVisowym”) tak „przelotny”, na uboczu, nie oczekujący uwagi. A przecież byłeś kimś odrębnym, oryginalnym, szlachetnie dyskretnym. Niech Cię tam (w obecnych tam Twoich wysokich rewirach) dojdzie to ode mnie, od nas przy zVisowych stolikach to jedno słowo ... Żal. Twoje wiersze zostają z nami. A Ty, w wiekuistym już tam pokoju, wybac, że tylko takie to krótkie słówko... Żal. My tu jeszcze ćwiczymy cnotę powściągliwości.

Andrzej Mleczko - grafiki



Jacek Kaczmarski

Piosenka z 1993 roku...

„bo koszt szlachetności wyciżą skarbnicy, a OKRADZIONY ZAPŁACI!.. W dzielnicy żebraków, pod murem klasztoru, Za zamkiem, gdzie miejskiej nie ujrzysz już straży Aż huczy od gorzkich oskarżeń i sporów Przeciwko Królowi Nędzarzy. Ma nędza swą godność, lecz nią się nie najesz, I więcej coś w ustach mieć chcesz, prócz nadziei, Wybrano więc króla, a on – powiadają – Okazał się królem złodziei. I złodziej ma honor, choć głód cierpi rzadziej, Lecz inny to cech i się rządzi inaczej – Więc mówić się zwykło już głośno o zdradzie Idei godności żebraczej. A król wszak szlachetną miał myśl, by pogodzić I jednych i drugich, choć w walkach zajadli; Lecz zanim spłodzoną ideę urodził – Złodzieje nędzarzy okradli. Na burzach dziejowych w żebraczej dzielnicy Ni klasztor, ni zamek właściwie nie straci, Bo koszt szlachetności wyciżą skarbnicy... A okradziony – zapłaci”.

Jacek Kaczmarski 17.1.1993

Galeria Vis á Vis:

Grzegorz Wójcik - „Scena Krk” - wystawa fotografii

Na wystawie prezentowane są fotografie autorstwa Grzegorza Wójcika, uwieczniające artystów podczas ich występów na letnim festiwalu w Krakowie. Zdjęcia te są nie tylko artystycznym przedstawieniem muzyki, ale stanowią również hołd dla artystów śpiewających na scenie.





Henryk Tomasz Kaiser

Zdanie polityczne

O polityce się nie rozmawia- tak zostało przyjęte w Zvisie. Polityka różni ludzi i skłóca ich czasem „śmiertelnie”.

Bez rozmów politycznych życie jest beztrudne.

Zastanawiam się jednak: jak to jest możliwe, że ludzie o tym podobnym poziomie inteligencji, wychowani w tym samym kraju w podobnych warunkach mają tak różne, często radykalnie poglądy?

Inteligencję cechuje między innymi: „akceptacja innych takich jakimi są, tolerancja dla błędów, myślenie przed wypowiedzeniem się, nie wygłaszanie raptownych sądów”. Czyżby więc nie było w Polsce inteligentnych ludzi? Przecież prawie wszyscy wypowiadają się „raptownie”.

A przecież nie ma niczego tylko czarnego lub tylko białego. Nie ma człowieka, a tym bardziej partii która by robiła wyłącznie dobrze, albo tylko źle. Liczy się więc partia która robi więcej dobrego, a mniej złego od pozostałych. Za tą partią można obstawiać, ale bez fanatyzmu, bo i ta partia na pewno popełni jakiś błąd. Zresztą sam „błąd” może być względny- dla jednych to błąd, a dla innych zbawienie.

Osobną sprawą jest kultura rozmowy, której nie znajdzie się na żadnym publicznym plenum, a który ten brak znajomości zasad przechodzi niestety na rozmowy prywatne.

Nikt nie chce słuchać, ale też nikt nie chce przerwać swojego słowotoku. Trudno jest więc i słuchać i mówić. Niestety polskie media to podsycają, i to im głównie zależy na walce politycznej, bo przecież z tego czerpią pieniądze.

Wracając do polityki: W USA jest tak: przed samymi wyborami jest walka kandydatów, która często nie przebiera w środkach i jest nawet brutalna i niesprawiedliwa. Jednakże po wyborach, przegrany i jego partia wycofują się z życia politycznego (z wyjątkiem narcystycznego Donalda Trumpa). Po prostu dają możliwość zwycięzcom działać



w spokoju- w końcu przecież okazali się najlepszymi w demokratycznych wyborach. Co ciekawe ci co głosowali na kontrkandydata teraz mówią o zwycięzcy: mój Prezydent! okazując tym szacunek przywódcy Jego Państwa. Oczywiście jak prezydent się nie sprawdzi, a więc też jego partia to przy następnych wyborach na niego po prostu wyborcy nie zgłoszą i tyle.

Taka postawa pozwala Prezydentowi i jego partii spokojnie układać długoplanowe przedsięwzięcia, rządzić krajem, oraz wzmacnia pozycję i autorytet kraju na arenie międzynarodowej. To jest patriotyzm.

Na wybory trzeba iść, to też patriotyzm.



fot. B. Zimowski



fot. archiwum

Mieczysław Czuma

CENTUŚ – TO BRZMI DUMNIE !

Co poniektórzy, chcąc nas mieć pod butem, mówią o nas centusie. To podręczne i dyżurujące powiedzonko ma nas ośmieszyć, poniżyć, skompromitować. Że niby kutwy, sknery, dusigrosze. A przecież liczenie się z groszem, przemyślane wydatki, czy wykalkulowane inwestycje to nie poruta, to cnota.

Potrąfimy szanować pieniądze i wydawać je na zbożne cele.

Otóż i dowody. To przecież klepiąca galicyjską biedę społeczność Krakowa przywracała w najtrudniejszych czasach renesansową urodę Sukiennicom, utrzymywała i upiększała tutejsze historyczne budowle i zabytkowe świątynie. Nie pomagał nam nikt. Z rąk austriackich trzeba było wykupić Wawel, gdzie znajdowały się wojskowe koszary, a potem krok po kroku przywracać urodę zdewastowanym zamkowym wnętrzą. Za odzyskanie Wawelu trzeba było wyłożyć niebagatelną sumę: 2 714 606 koron i 89 halerzy. Za te pieniądze postawiono w zamian budynki koszar artylerii oraz zbrojownię przy ulicy Rakowickiej i szpital wojskowy przy Wrocławskiej.

Ale już i wcześniej krakowianie dobrze wiedzieli w co inwestować, w cenie były tu talent i sztuka. Wit Stwosz za dzieło swojego życia, ołtarz Mariacki, wziął 2 808 florenów. Była to suma olbrzymia, równa rocznemu budżetowi miasta. Obecny roczny budżet Krakowa to przeszło sześć miliardów złotych. Tyle dziś Wit Stwosz zainkasowałby za swoją dwunastoletnią robotę. Czy miasto, które takie pieniądze wydaje na dzieła sztuki zamieszkują sknery, kutwy i dusigrosze? A teraz przestroga. Po pobycie w stolicy Polski mistrz powrócił do Norymbergii i całe zarobione u nas pieniądze zainwestował w jakieś spekulacje tekstylne. Interes się nie udał, transakcje zakończyły się bankrutem. Aby się ratować i odzyskać wyłożony majątek artysta podrobił stosowne dokumenty i sfałszował odpowiednie pieczęcie. Takie czyny karane był spaleniem na stosie, a w najlepszym razie oślepieniem. Od najgorszego wybawił Wita Stwosza sam cesarz Maksymilian. Skończyło się na wypaleniu rozgrzanym żelazem piętna na czole i na obu policzkach. Morał? Jeśli Kraków da ci zarobić nie wywoź z miasta pieniędzy, inwestuj na miejscu.

Nasze miasto wzorowo potrafiło zawsze pomnażać swój kapitał. Pozostała anegdota o pewnym dziewiętnastowiecznym nędzarzu, który dla chleba sprzedał za kilka centów miejskim szpitalowi swoje ciało do prosektorium, aby po jego śmierci mogło służyć studentom do lekcji anatomii. Ponieważ długo nie umierał, magistrat co roku przysyłał mu ponaglenie. Czy można znaleźć lepszy przykład na to jak dbać należy o społeczne pieniądze?

Centuś – to brzmi dumnie. Aby całe to gadanie zapamiętać napisałem wierszyk, którego każdy powinien nauczyć się na pamięć: *Nigdy wstydzić się nie musiał, kto tatusia miał centusia!*

Andrzej Warzecha

Na ośle

Tej wiosny
Nikt już nie zatrzyma
Pędzi na ośle
Nie pytając dokąd
Półki jej zielen
W żyłach nie stężeje
W pierwsze jesienne
Wrześniowe zdumienie

Bez odwrotu

Stanie upał
Nad łąką
Przejdzie
Burza nad ranem
Dzieje się lato
Amen



fot. B. Kucharek

Grażyna Potoczek



fot. archiwumi

* * *

Na początku było pięknie
mówili jednym głosem
Z czasem
stało się to zupełnie niemożliwe
Znajomość przyczyn
nie uśmierza bólu

Azyl

W Twoich
ramionach, Mamo,
zły sen był
zupełnie bezradny

Marek Michalak

Droga do raju cz. 62

Droga do raju przez... piekło

W chwili, kiedy zacząłem o tym pisać, moja rodzina i przyjaciele spotkali się na Manhattanie, na cmentarzu. Wszyscy chcieli pożegnać córkę mojej kuzynki i jej dwójkę małych dzieci. Nikt się nie spodziewał, że tak szybko i w taki sposób zakończą wędrówkę do raj. Całą rodzinę, łącznie z zabójcą znaleziono w mieszkaniu zaplamionym krwią i z nożem w rękę ojca dzieci. Ten ból obudził we mnie niemalże zapomnianą historię. 1964 rok. Skończyłem podstawówkę i postanowiłem zdawać egzaminy do Liceum Muzycznego w Łodzi. W rodzinnym Tomaszowie pobierałem lekcje gry na akordeonie w Ognisku Muzycznym. Mój nauczyciel przekonał mnie jednak, że da mi lekcje dodatkowo na puzonie. Uważał, że umiejętność gry na akordeonie, to marny chleb - w każdej polskiej rodzinie mają chociaż jednego grajka i trudno wybić się w tej branży. A na puzonie wystarczy, że będę dobry, to znajdę pracę w orkiestrach albo w zespołach muzycznych. Nie miałem pojęcia, że był w tym ukryty jego prywatny cel. Zaprzyjaźnił się z młodą wdową, czyli z moją mamą. Pojechał ze mną na egzaminy. Przyjęli mnie. Pomógł mi załatwić miejsce w bursie. Cały szczęśliwy doczekałem do 1-go września i pojawiłem się w Łodzi. Niestety, dzień później dostałem wiadomość od dyrektora szkoły, że muszę natychmiast jechać do domu. Mama w szpitalu. Szok. Już w domu z relacji siostry mamy i sąsiadek próbowałem dotrzeć do sensu informacji. W końcu zrozumiałem. Mama przeszła operację - rany klute od noża przy kręgarach szyjnych. Sąsiadki usłyszały krzyk w naszym domu na piętrze, wpadły do otwartego mieszkania i na tapczanie zobaczyły moją mamę nieprzytomną z głową we krwi. Zadzwończyły po karetkę. Przyjechała bardzo szybko i zabrała ją do szpitala. Milicja też pojawiła się szybko i z informacji od sąsiadek dostali opis podejrzanego. Po kilku godzinach znaleźli mojego nauczyciela wążającego się wzdłuż



foto: B. Kucharek

brzegu Pilicy. Miał nawet przy sobie nóż, którym chciał zabić ofiarę. Rany klute były szczęśliwie obok aorty. Mamę odratowano. Niedoszły kochanek dostał sześć lat więzienia za usiłowanie zabójstwa. Ja wróciłem do Łodzi. Długo prostowałem Psyche, aż tu nagle, po tylu latach znowu rodzinny dramat. Nie dam się złamać. Skoro już tyle lat udało mi się wędrować po tej drodze do raj, jeszcze jakiś czas spróbuję po niej powędrować.

P. S. Mama opowiedziała mi kiedyś, że „profesorek” liczył na to, że ona pozwoli mu z nią zamieszkać. Ponieważ nie zgodziła się na to, to wyszło jak wyszło.



Ta radość zastygła i niech trwa w pamięci

Anna Czepiel

Tajemnica gęsi

W tekście pt. „Moda”, opublikowanym w wakacyjnym wydaniu „Vis-à-Vis”, Andrzej Sikorowski bardzo jednostronnie spogląda na trend spacerowania z pluszowymi gęsiami. Zjawisko to zostaje sprowadzone do „owczego pędu, pod którego wpływem tracimy tożsamość”, „tworzenia tłumu z identycznym kodem estetycznym”, a nawet do bycia zaprzeczeniem „mody na rozum”. Tego ostatniego określenia nie powstydziliby się wygłaszający kazanie ksiądz. Można zapytać, w czym autorowi tak przeszkadza moda na gęś? Człowiek, nawet bardzo oryginalny (a do takich można zaliczyć autorów pisma „Vis-à-Vis”), w trakcie swojego życia nie uniknie podlegania różnym masowym trendom. W przeciwieństwie do mody na zbyt wycięte, wyzywające stroje, czy też trendów w relacjach międzyludzkich (np. *ghosting* – zrywanie z kimś kontaktu bez wyjaśnienia), moda na gęś jest sympatyczna. Nawiązuje ona do znanego większości ludzi instynktu opiekuńczego, bowiem – jak odnotowuje sam Sikorowski – kontakt z gęsią odbywa się przede wszystkim poprzez jej tulenie. Ponadto noszenie gęsi może stanowić hołd wobec kultury tradycyjnego polskiego gospodarstwa wiejskiego, skąd pochodzi większość Polaków i coraz bardziej to odkrywa (m.in. wskutek książek takich jak „Chłopki. Opowieść o naszych babkach” Joanny Kuciel-Frydryszak). Gęś – cóż, faktycznie nieprodukowana w Polsce, ale popularna akurat nad Wisłą – zyskuje zatem unikalną symbolikę również jako pamiątka, jaką nabędą w naszym kraju zagraniczni turyści. Biorąc pod uwagę oba wspomniane względy, byłabym uradowana, jeżeli zjawisko noszenia pluszowej gęsi przez dzieci i młodzież (a także niektórych dorosłych) stało się polskim obyczajem. Przez minione wakacje można było się tak trochę poczuć. Chwilowa moda na gęsi, czy też hipotetyczna powstała pod jej wpływem tradycja ich noszenia, może być rozpatrywana jako sposób życia całego narodu, zwyczaj pokrewny święconce, nieujmujący nic z indywidualności każdego członka wspólnoty. Oczywiście piszę to nie bez nawiązań do własnych doświadczeń. Pluszowe kaczkę (pokrewnie gąskom) kolekcjonuję od roku 2006. Nosiłam w torbie – na koncerty i spotkania ze znajomymi – m.in. białą kaczkę Melkę i niebieską kaczkę Chattanoogaę. „Dlaczego inni tego nie robią, tylko to na mnie spoglądają spode łba?” – zastanawiałam się. Innymi słowy, zawsze byłam przekonana, że w mojej subiektywnej miłości do pluszowego drobiu jest coś obiektywnego. Powszechna miłość do gęsi, jaka wybuchła w te wakacje, nareszcie potwierdziła tę intuicję. Wydaje się, że rolę odgrywa tu „leżąca” postura gęsi czy kaczkę – symbol tego, że chce ona przylgnąć do człowieka, oprzeć się na nim – połączony z wyobrażeniem, że ma ona pióra, a zatem pochodzi z nieco innego świata niż dużo popularniejsze wśród polskich zwierząt i pluszaków koty i psy.



foto: autora



foto: autora

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

Premiera października

KTO SIĘ BOI VIRGINII WOOLF? Edwarda ALBEE'GO

Reżyseria: Zygmunt HÜBNER
Premiera: Stary Teatr - Kraków – 16 października 1965

* * *

Hübner, Albee i głębsze znaczenie



foto: archiwum

Zygmunt Hübner [1930-1989] – znakomity aktor, reżyser, pedagog i publicysta w jednej osobie - był dyrektorem, któremu Stary Teatr w Krakowie zawdzięcza najwięcej.

Obok kształtowania i kompletowania zespołu aktorskiego najwyższej klasy, co rozpoczął już udanie jego poprzednik Władysław Krzemiński [1907-1966], obok sięgania po niechętnie przez władze polskie tolerowany, a lansowany już przez Krzemińskiego [w czasie jego dyrektury w latach 1957-1963], najbardziej aktualny repertuar teatrów całego świata (w tym również: <podjeźranego ideologicznie> Zachodu), potrafił zachęcić do stałej współpracy i pozyskać dla współkształtowania z nim nowego stylu teatralnego – Wielką (jak pokazały w pełni lata 70.te) reżyserską Trójkę polskiej sceny – Jerzego Jarockiego, Konrada Swinarskiego i... Andrzeja Wajdę, którego początkom znaczących teatralnie poczynań na Wybrzeżu sam Hübner aktywnie kibicował.

Ale była jeszcze w artystycznym postępowaniu Pana Zygmunta cecha w tych czasach zupełnie wyjątkowa. Miał bowiem Hübner rzadki charakter prawdziwego nonkonformisty, kiedy nie pozwalał sobie <jeździć po głowie> ani partyjnym kacykom, ani usłużnym władzy - cenzorom. Podkreślałem to już w poprzednim wspomnieniu (we wrześniu b.r.) o premierze Bryllowego „Kurdesza”, kiedy to po zdjęciu spektaklu Hussakowskiego, Hübner ustąpił w roku 1969 z dyrektorskiego stanowiska. Październikowa premiera w Starym Teatrze oznaczała pokazanie polskiemu widzowi nowej światowej sławy dramaturgicznej, w postaci Amerykanina – Edwarda Albee'ego.

Sztuka Albee'ego „Kto się boi Virginii Woolf?” była wtedy bardzo świeżą sensacją Broadwayowskiego sezonu w Nowym Jorku nie tylko ze względu na zagadkowy tytuł, stanowiący przewrotną <grę słów> z refrenem bardzo popularnej dziecięcej piosenki z Disney'owskiej bajki „Trzy małe świnki” – znanego po polsku w wersji „Kto by się tam wilka bał”.

Albee bowiem posłużył się transpozycją tego tytułu do wywołania zasadniczej dyskusji z zasadami moralistyki niesłuchanej kulturowanej w kołach amerykańskiej inteligencji wspaniałej pisarki angielskiej Virginii Woolf (1882-1941) uznawanej nie tylko za Oceanem za <etyczne guru>. Więcej: Virginie Woolf, tą walczącą feministkę, a jednocześnie niekwestionowaną nowatorkę prozy (nota bene: mistrzowską twórczynią nowego zapisu <strumienia świadomości>), Albee postanowił < postawić w kącie> . Odbrażowiwszy naukowo-intelektualny blichtr uniwersyteckiej elity, dramaturg wydobyl w swoim dramacie <najciemniejszą> zonę kompleksów, tkwiących w każdym człowieku.

Uczynił to mistrzowsko budując aktorski kwartet, rozpisany na dwie pary małżeńskie. Parę pierwszą – ten dramat prowadzącą – stanowią George i Marta.

George - to zasłużony, ale wyraźnie starzejący się, profesor historii, na co dzień całkowicie sterowany przez żonę – córkę rektora uczelni, na której to zrobił naukową i dydaktyczną karierę, a teraz marzy tylko o pełnej ...samorealizacji, przyjmującej za wzór niezrealizowany w życiu stereotyp <delikatnego chłoptasia>.

Marta – zaś to jego całkowite przeciwieństwo: atrakcyjna, świadoma i dojrzała kobieta, która od partnera wymaga pełnego zaspokojenia: i intelektualnego, i seksualnego,

Stąd konflikt, stąd – wieczór małżeńskich rozliczeń na oczach zaproszonej na drinka po wydziałowym przyjęciu pary młodych: Nicka – wstępującego w naukowe życie znakomicie rokującego biologa i jego niedoświadczonej, a mocno zakompleksionej całkowicie żony – Honey, której jedyną życiową troską jest ostrożność przed niezaplanowanym zajściem w ciążę.

Wieczorna, często bardzo drastyczna <lekcja>, jaką <zafundowali> im gospodarze, prowadzi do nagłej weryfikacji ugrzeczniczonych zachowań, jakie przystało młodym gościom, niespodziewanie dopuszczonych do tajemnic profesorskiej alkowy.

Robert Albee, z którym udało mi się porozmawiać wiosną 1980 roku, sam z uśmiechem stwierdzał, że „tak drastycznych starć dzisiaj by już nie... wymyślił” i że podziwiał wytrzymałość aktorów w każdym scenicznym sukcesie towarzyszącym licznym premierom jego sztuki.

Wtedy postarałem się detalicznie scharakteryzować mu krakowską kreację Zofii Niwińskiej w roli Marty i jej „sceniczną biologiczną furie”, stawiającą ją - nie tylko moim zdaniem - w jednym rzędzie obok światowych znakomitości teatralnych (Madelaine Robinson w paryskim Teatrze <Renaissance> 1964-1965) i kinowych (Liz Taylor w amerykańskiej filmowej wersji sztuki z roku 1966). Niwińska zaś, kiedy jej to wszystko opowiedziałem, skromnie stwierdziła: „Wszystko zawdzięczam i autorowi, i reżyserowi. Wiedzieli, co czynią”.

Miała bowiem na myśli nie tylko Edwarda Albee'ego, ale i Zygmunta Hübnera, który wraz z doborową czwórką wykonawców (obok Niwińskiej – Kazimierz Witkiewicz. Romana Próchnicka, Marek Dąbrowski) mieszczańskie elicie Krakowa zafundował taki ostrzy <pasztet>.

Jan Woleński

EPIZOD PRZY EGZAMINIE WSTĘPNYM

Zdarzyło się to w 1972 r. przy ustnym egzaminie wstępnym na prawo – byłem egzaminatorem z historii. Procedura była taka, że wchodziły 4 osoby. Najpierw zdawały historię (wcześniej był pisemny z tego przedmiotu), potem geografii. Komisja składała się z 5 osób, ale egzaminatorzy tylko proponowali oceny a o ich ostatecznym kształcie decydowali pozostali członkowie. Skutkiem tego nie było powodu, aby egzaminator z historii był obecny w trakcie odpytywania kandydatów z geografii i na odwrót. Można było pospacerować po Plantach – egzaminy odbywały się w budynku przy ul. Olszewskiego 2. Dodatkową atrakcją była możliwość oglądania urodziwych dziewczyn, których było sporo wśród kandydatek na studia. Zdawało około 1000 osób, miejsc było 200. Zalecano, aby nie rozmawiać z kandydatami(kami), w szczególności nie udzielać informacji o przebiegu egzaminu.

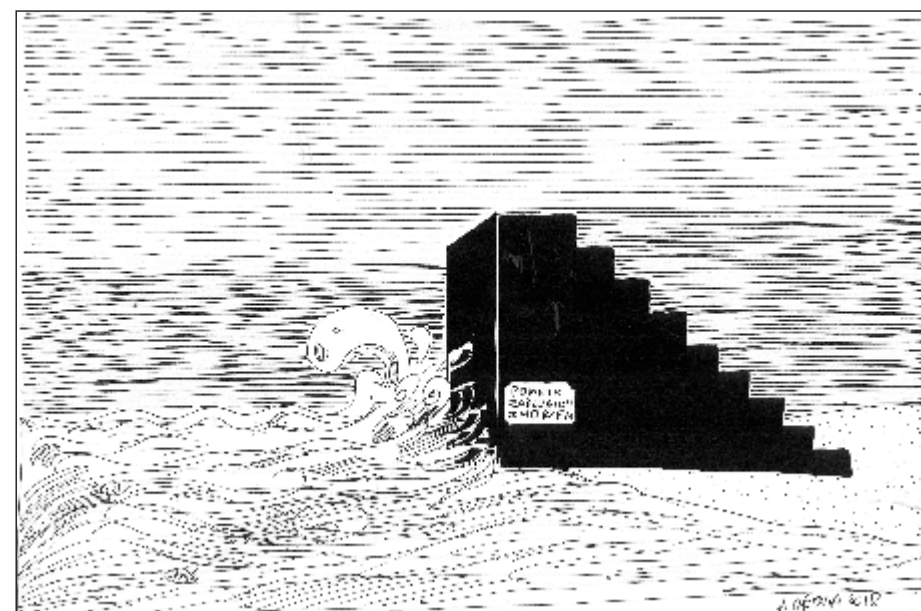
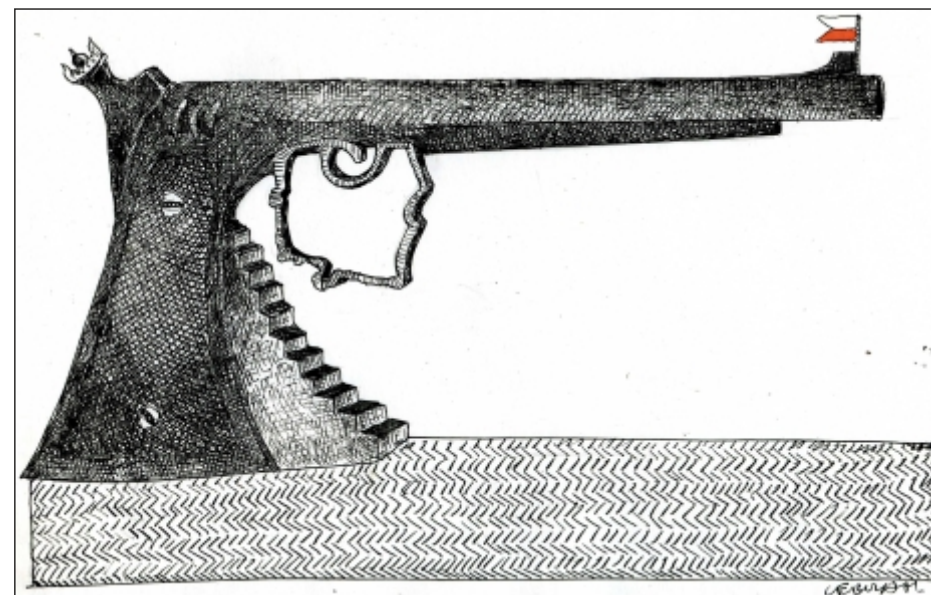
Raz, gdy wyszedłem w trakcie egzaminu z geografii, podeszła dziewczyna, która wcześniej zdawała i zapytała, jak jej poszło. Zdała, ale nie na tyle dobrze, aby dostać się. Powiedziałem jej to uznając, że może lepiej, aby nie miała złudzeń. Posmutniała, odwróciła się i odeszła. Egzaminatorzy podpisywali końcowe protokoły każdą stroną osobno. I wtedy, zauważyłem, że owa dziewczyna została jednak zakwalifikowana – nasza komisja uznała, że oceniała zbyt surowo. Do ogłoszenia ostatecznych wyników pozostało jeszcze parę dni, ale postanowiłem naprawić sytuację. Znalazienie adresu nie było trudne w aktach w dziekanacie, ale co dalej, przecież trudno, abym odwiedzał młodą dziewczynę w jej mieszkaniu. Uprosiłem znajomą, aby poszła i poprosiła ją na dół. Była bardzo zdziwiona moją wizytą. Bardzo ucieszyła się, gdy jej zakomunikowałem o nowej sytuacji. Ostatecznie została przyjęta.

Po jakimś czasie spotkaliśmy się na imprezie studenckiej, chyba półmetku studiów. Podeszła do mnie i powiedziała, że była zrozpaczona po naszej pierwszej rozmowie i nawet miała myśli samobójcze. Pochodziła z biednej rodziny, była półsierotą, a jej matka ciężko pracowała, aby zebrać pieniądze na studia córki. Do dziś uważam, że wizyta z informacją o ostatecznym wyniku egzaminu była dobrym uczynkiem, może jednym z lepszych w moim życiu. Nie wszyscy podzielali ten osąd. Gdy opowiedziałem całą historię koleżance o wyjątkowych ambicjach arystokratycznych, tak to skomentował „Że też tak przejąłeś się jakąś gówniarą. Pracownik naukowy powinien szanować się”.



foto. B. Zimowski

Henryk Cebula - grafiki:



Lesław Pizło

Czwarty kopiec

No i przyszła kolej na ten czwarty, najmłodszy z krakowskich kopców – pomników. (skrupulatni czytelnicy oczywiście mnie poprawią, że jest jeszcze piąty, ale dajmy sobie z nim spokój.)

W dwudziestolecie międzywojennym nastroje patriotyczne i niepodległościowe były niesłychanie żywe. Świeżo odzyskana niepodległość smakowała. Zatem nic dziwnego, że zgłoszony przez Franciszka Supergana pomysł upamiętnienia tego doniosłego wydarzenia w postaci kopca-pomnika spotkał się z szerokim poparciem społecznym. I tak w 1934 Związek Legionistów Polskich zaakceptował pomysł i zatwierdził projekt Franciszka Mączyńskiego wg. którego miał powstać kopiec – pomnik walki narodu o niepodległość.

Prace ruszyły, w rocznicę wymarszu I Kadrowej z Oleandrów czyli 6 sierpnia 1934, dosyć zwawo. Udział w powstawaniu dzieła brał cały naród. Nie tylko symbolicznie w postaci wsparcia finansowego ale w znaczeniu dosłownym. Na miejscu inwestycji w Lesie Wolskim „urzędował” na stałe fotograf, który robił biorącym udział w sypaniu kopca pamiątkowe zdjęcie. Posiadanie takiego zdjęcia może nie było obowiązkowe, ale należało do dobrego tonu. Mam nawet takie przedstawiające mojego wujka Władka popychającego taczki z ziemią. Takich zdjęć są tysiące, ale to jest o tyle wyjątkowe, że ów wujek znany był w rodzinie z tego, że w swoim życiu nie skalał się żadną pracą. Mawiał, że do roboty jest dobry cham i traktor. Nie wiem skąd u niego taka postawa, bo nie wyróżniał się ani jakimiś specjalnymi talentami ani arystokratycznym rodowodem.

Wszystko szło dobrze, aż tu niespełna rok później umiera Marszałek Piłsudski i zaczynają się jakże charakterystyczne dla nas przepychanki. Wielbiciel komendanta natychmiast zgłosili wniosek w sprawie nazwy pomnika i tak: Pomnik Walki Narodu o Niepodległość, Kopiec Niepodległości, Kopiec Wolności usunął się w cień. Niewątpliwe zasługi Marszałka wzięły górę. Opór nielicznych został przełamany. Kopiec został Kopcem Marszałka Józefa Piłsudskiego, on sam został pochowany na Wawelu, mimo sprzeciwu kard. Sapiechy i tak jest do dziś. Pozostałe nazwy również funkcjonują ale zawsze w powiązaniu z imieniem Marszałka. Pojawiła się jeszcze jedna. Mianowicie Mogiła Mogił. Ta intencja wzięła się stąd, że sam kopiec zawiera ziemię z rozmaitych pól bitewnych. Wszystkich, gdzie polski żołnierz walczył o wolność i niepodległość Ojczyzny. Czasem egzotycznych, jak choćby z jakiejś wyspy szczęśliwej na Pacyfiku, gdzie zginął polski lotnik. Swoją drogą co robiła nasza niepodległość państwowa w Makronezji nie mam pojęcia.

Jednak niechęć a nawet wrogość nadal krąży wokół kopca i jego intencji. Pierwszy zamach autorstwa gubernatora Franka jakimś dziwnym zrzędzeniem losu nie doszedł do skutku. Niemcy, przekonani o swojej potęgze, zwlekali z zamiarem wysadzenia kopca nie chcąc niepotrzebnie drażnić polskiej ludności. A później jak potęga zaczęła się chwiać, mieli inne, ważniejsze sprawy na głowie. Następni zaborcy też nie pałali przesadną miłością do Piłsudskiego i chętnie zrealizowaliby zamiar Niemców, ale jednak trochę liczyli się z

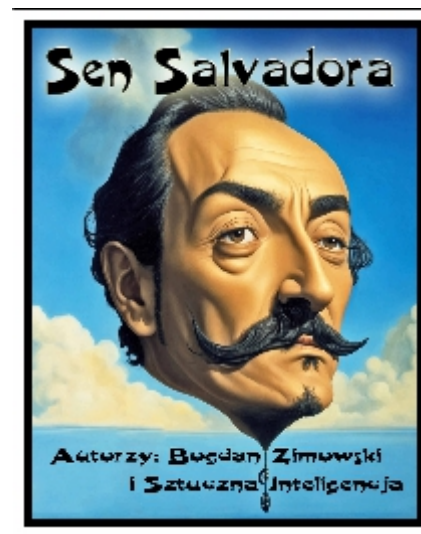


fot. B. Kańska - Bielak

nastrojami społeczeństwa. Ograniczyli się do usunięcia ze szczytu kopca kamiennej płyty z krzyżem legionowym. Użyto do tego czołgu, dewastując substancję kopca. Komuniści liczyli, że przyroda dokona reszty i kopiec pozostawiony bez opieki sam się rozleci. I istotnie wszystko było na „dobrej drodze”. Deszcze rozmywały zbocza porośnięte sporym już laskiem gdy nadeszła „odwilż”. Tępotłowi aparatczycy spod znaku Gomułki ustąpili miejsca nieco bardziej liberalnym i natychmiast różne patriotyczne stowarzyszenia mogły się wziąć do roboty. Pomimo braku pieniędzy, wewnętrznych kłótni, awantur i sporów o to kto jest spadkobiercą legionowej tradycji, a co za tym idzie większym patriotą, robota posuwała się i kopiec został uratowany. Tyle w ogromnym skrócie o największym krakowskim kopcu.

„Sen Salvadora” wystawa grafiki

**Autorzy: Bogdan Zimowski
i Sztuczna Inteligencja.
Prywatna Galeria autora,
ul. Dunin Wąsowicza 20/8
wrzesień, październik 2023**



fot. W. Morek



Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr. 104

Nie tylko Gdynia ale również Piešťany są miejscem spotkań filmowych fanów. Kurort światowej sławy gościł 18. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Cinematik (12.-17.9.2023). Przeszło 100 filmów pełnometrażowych i krótkometrażowych przy pełnych salach zwłaszcza młodej publiczności. Nieformalne spotkania z twórcami, nie kończące się dyskusje... W programie MFF Cinematik są dwa główne konkursy – międzynarodowy *Meeting point Europe*, którego laureatem został fiński film Aki Kaurismäkiego, *Karaoke Blues*. Drugi konkurs dotyczy słowackich filmów dokumentalnych – *Cinematic.doc*. Zwyciężyła i Nagrodę Fundacji Literackiej otrzymała antropolog i reżyser Sonia G. Lutherová za dokument *Szczęśliwy człowiek*. Fiński Mistr A.K. jest znany z filmów o klasie robotniczej. Opowiada zwięźle, sarkastycznie, tym razem o robotniku budowlanym, nieudaczniku, który z tego powodu jest pijakiem, i sprzedawczyni w supermarkecie, która po pracy wraca do pustego mieszkania... Przez przypadek spotykają się w starym Karaoke barze... Ciekawostką Festiwalu jest to, że Główną nagrodę przyznając 14 krytyków FIPRESCI, międzynarodowej organizacji krytyków filmowych. Film dokumentalny *Szczęśliwy człowiek* jest portretem młodej czechosłowackiej rodziny z dwojgiem dzieci, żyjącej w Szwecji, w której żona po pewnym czasie chce zostać mężczyzną. Zostaje Marvinem Horváthem...i czuję się szczęśliwym. Interesujących filmów na festiwalu było dużo. Nagrodę Burmistrza miasta Piešťany otrzymał film dokumentalny Andy Warhol – amerykański sen, reżysera Lubomira J. Slivki. Są to dosłownie w ostatniej chwili nakręcone rozmowy z rodziną A.W. w miejscowości Miková skąd pochodzą rodzice artysty, również także ze strony amerykańskiej udało się spotkać przed kamerą różne ważne osoby. Uczciwie zrobiony dokument, który ma znaczenie dla wszystkich, którzy się zajmują sztuką XX. wieku. Słowak, znany w świecie – Alexander Dubček – jest bohaterem filmu *Wszyscy ludzie będą braćmi...*, który zrealizował jeden z najlepszych twórców dokumentu słowackiego Robert Kirchhoff. Dokument, który pokazuje poprzez rozmowy z uczestnikami „prażskiej wiosny“, historykami, publicystami i na przykład z ludźmi z bezpieki, jak również z politykami z Włoch, do których miał Dubček wielkie zaufanie. Złożoną osobowość A. D. w złożonych czasach. Mnóstwo materiału, różnorodnych wypowiedzi i materiału filmowego robi z tego filmu autentyczne dzieło pokazujące kontrowersyjną współczesność i rolę jednostki w dziejach nie tak odległych. Czechosłowacka nowa fala na przykładzie profilu mniej znanego w Polsce reżysera Eduarda Grečnera (1931), który jest autorem takich filmów jak *Nylonowy księżyc* (1965), *Smok powraca* (1968), *Jaškov sen* (1996) itd. Po wkroczeniu wojsk Warszawskiego Paktu, który nazywał okupacją, nie mógł realizować filmów. Film o nim jest zarazem jego mottem życiowym: *Prawda jest najważniejsza*. Tym razem z polskich filmów wyświetlono, aż jeden – *Pianoforte* reżysera Jakuba Piątka, spojrzenie od wewnątrz na Międzynarodowy Konkurs Chopinowski.



fot. N. Pazdej

Stefan Szlachtycz

FILIPAK, Adieu - cz. 6

Artyści „erefu” nosili się tak i na co dzień, to był uniform wyróżniający ich wśród amerykańzującego stylu ubiorów młodzieży. Rodzaj „haute couture” Prawdziwych Polaków. Spektakle, bez zarzutu formalnie, były rodzajem rozprawy historycznej z nieodległą przeszłością, ujawniając i demaskując prawdę o niej. A była nią podstępna, destrukcyjna rola Żydów. Od siebie dodam, że mam do nich (Żydów) pretensję, iż każdą, najmniejszą krytyczną wzmiankę odbierają jako nagonkę antysemitką, natomiast każdy, absurdalnie przerysowany pean pochlebny, przyjmują jako należny, bez mrugnienia powieką. „Prawda”, jaką głosił „eref” nie stała się przedmiotem żadnego dyskursu, zjednała Filipskiemu kwalifikację antysemitę i rasistę. Antyżydowskość stała się istotnie jego szyldem. Wszelkie próby osłabienia tego osądu niweczył fakt pochodzenia materiałów źródłowych scenariuszy „erefu”, wprost z archiwów SB. Ale rasizm?! Już u wczesnego Rysia dało się dostrzec coś, czego nie potrafię uściślić, coś... negroidalnego. On sam, też to czuł i eksponował sympatię do mieszkańców czarnej Afryki. Nawet zapisał się na - jedyne w życiu studia - kurs języka suahili na UJ-ocie. Długo to nie trwało, ale opanował biegle kilka suahilijskich tekstów, które brawurowo wygłaszał. Do jego „murzyńskości” jeszcze nawiążę. Tymczasem geografia jego poglądów była znacznie bliższa. Spotkałem go w pamiętnym roku '68. To był zadowolony z siebie, człowiek spełnionych nadziei. Świat postępował według jego oczekiwań i wytycznych. Żydom wskazano, gdzie ich - poza Polską - miejsce; nasze wojska, u boku Armii Radzieckiej, słusznie i potrzebnie wkroczyły do Czechosłowacji. Jest dobrze, będzie lepiej! Nie zostałem dopuszczony do głosu. Na długo nawet, bo brak dalszego kontaktu potrwał kilka lat. W tym czasie RF fetuje swój największy sukces aktorski, rolę Hubala w filmie ... no właśnie, czym? Oficjalnie Poręby? RF twierdzi, że - de facto - jego. Jest jeszcze scenarzysta J.J. Szczepański, który najpierw wycofał nazwisko z czołówki, potem je przywrócił. RF, wszelako odtąd uważa się za reżysera filmów fabularnych (co się ziściło), w sobie odkrywa wcielenie Hubala, a swoją „polskość” jako uczestnictwo w obozie niepokornych, nieuległych partyzantów - ekstraklasy narodu. Wprawdzie, to Poręba zakłada nacjonalistyczne Stowarzyszenie „Grunwald”, ale bez uczestnictwa Filipskiego. „Przyjaźń” jaka ich łączy, miała szorstkość raszpli - najgrubszego pilnika. Niebawem mam się z tym, osobiście zetknąć... Obydwoj są protegowanymi Mieczysława Moczara, ministra Spraw Wewnętrznych, lidera frakcji „Partyzantów” w KC Partii; więc generał ma z nimi problem. Poręba dostaje Zespół Filmowy „Profil”, a Ryszard? Wreszcie spełnienie proroctwa: dyrekcję teatru, prawdziwego! Nie jest to Stary, ale też opromieniony sławą Teatr Ludowy w Nowej Hucie.



fot. archiwum

Jerzy Antkowiak

L'ÉTÉ DE DIOR, CZYLI KOCHAJMY STARE MODY DOPÓKI JESZCZE ONE ISTNIEJĄ I ZIEMIA NADAL KRĘCI SIĘ !!!



fol. archiwumi

DIOR to naturalnie WYSOKA PÓŁKA, o czym niska półka nie nieczytającej młodzieży (kusi mnie by o niskiej pisać nisko: „młodzieży”), nie wie no, bo skoro mówią jak mówią... Przepraszam moich czytelników, których dzieci, wnuki, lub ktokolwiek bliski jest czytający a smartfon mieszka w kieszeni. To tyle połajane od marudera, teras DIOR i STARE KORONKI, cokolwiek to znaczy i jakie macie Państwo skojarzenia, a z *ARSZENIKIEM* to była, arcy groteska CZARNEGO HUMORU. Grzebiąc w moich starych kartonach i pudłach i *starych* gazetach typu paryskie *LE FIGARO* znajduję potwierdzenie mojej spokojnie pod chmurką i z półuśmiechem wyczarowanej tezy, że stare mody są tak piekielnie modne, a „nowe modne”, czy „NOWE MODNE”, czy „SUPER HIPER MODNISSIMO” musi ciągle powstawać, bo na tym *PERPETUM MOBILE* opiera się istnienie tej potęgi, jaką jest *M O D A* - kochana drapieżna wampirzyca i NAJŁAGODNIEJSZA Z MUZ!!! Tak ja postrzegam ten mój *romans* nieoczekiwany i nieplanowany z nie zaistniałego wymarzonego *DZIENNIKARSTWA*, *PRZEZ CERAMIKĘ* i *MALARSTWO* i tu już, blisko, lecz gdzie tam jakiś romansik, wlażłem z butami w tafty, jedwabie, welury i *koronki* i sam sobie podałem ten *MODOWY ARSZENIK*. *VERTIGO*, czyli *HITCHCOCK*-a „*ZAWRÓT GŁOWY*” TO BYŁO MAŁE PIWO.

W Czerwcu odebrałem *DYPLOM PWSSP* we *WROCLAWIU*, a w Lipcu w Warszawie na Wystawie Wzornictwa Przemysłowego obejrzałem pierwszy w życiu *POKAZ MODY*, pokaz *MODY POOLSKIEJ* i poległem: *TYLKO MADA!!!* To był *LIPIEC 1960* roku, kołatałem do *KRÓLESTWA MODY* pół roku i 16 *Lutego* w *IMIENINY PANI DANY* przyjęto mnie na pół etatu jako asystenta Pani *Jadwigi Grabowskiej* *DYREKTORKI ARTYSTYCZNEJ* i *ZAŁOŻYCIELKI MODY POLSKIEJ*. Znalazłem się w *KRÓLESTWIE MODY* z „tytułem *NASZ PLASTUŚ*”, w *PARYŻU* byłem „*WNUCZEK*”, a kiedy coś nabroiłem to było: „*NIEZNOŚNY* ten mały ceramik a *Komorowa*”.

Zupełnie nie wiem, dlaczego tak się ten wstęp rozsypał, bo moim zamiarem było wnikliwe opisanie zdjęcia modelki *DIORA* z kolekcji sprzed lat zapewne nastu, i ono skojarzyło się ze słynnymi zdjęciami *WIELKIEGO MISTRZA FOTO RICHARDA AVENDONA*, chociaż na pewno nie jest to on, ale jest tak urokliwe w tym stylu „wiecznie niewychodzącego z mody kostiumu”. *MADAME JANIE SAMET*, w tamtych latach *PAPIEŻYCA PARYSKICH DZIENNIKAREK* - też wymagająca, co najmniej mojego felietonu dla *PAŃ* piszących o modzie, o *MODZIE*, dla *MODY* to dziennikarsko - modowy wzorzec *METRA* w *SEVRES* pod *PARYŻEM*. Nie piszę tego złośliwie, bo z bywalców na

pokazach paryskiej *HAUTE COUTURE* zostało zaledwie kilkoro, a anegdot tuziny. *DRODZY CZYTELNICZY – JESZCIE NIE WIECZÓR*, ale lato 2023 gorące i dyszące, bywało duszące, ale dostarczyło jeszcze innych atrakcji. *WOLSZTYN* był przyjacielski, piękny i serdeczny, jak zawsze wytworny i miałem mnóstwo miłych rozmów z mieszkańcami.

WYSTAWĘ u *DR KOCHA* zamkną *FINISAŻ* (nowe i kulawe słowo, brzmiące dość dziwnie), były pokazy *MODY POLSKIEJ*, *MODY WŁOSKIEJ*, gościnnie z *BIALEGOSTOKU*, kto chciał być to był, kto nie chciał to nie był – no po prostu *DEMOKRACJA PEŁNĄ GĘBĄ*. W *TYM MIEJSCU DZIĘKUJĘ KASI JĘCZMIONCE* - *SZEFUJĄCEJ* z *POMYSŁEM* i *PAZUREM* „vide rysowany *KALESNDARZ 2024*” *PROMOCJI MIASTA*, a także: *EWELINA STANEK*, *REX MODELKI*, w *MODZIE POLSKIEJ* był to „pazurek” *KASI BUTOWT*, dziękuję *SPOŁECZNICOM* od „*OGRODÓW*”, *PANIOM* od *BUTIKÓW*, „*POLSKI LEN*” chodził po *CZERWONYM DYWANIE*, czyli ogrodowym *WYBIEGU* w *MUZEUM DR ROBERTA KOCHA*.

PRZYJAZNE moim wolsztyńskim potyczkom z *MODĄ* i o *MODĘ* to *BISTRO EUROPA* i *CAFE de PARIS*, eleganckie *SECOND HENDY* z „*KRÓLOWAMI MÓD NOSZONYCH*”, *DRAPERIE PIĘKNYCH TKANIN* u *PAŃSTWA OLSZEWSKICH* przy *RYNKU*, a po diagonalu „paryska nutka” *ULICA KRÓTKA* z *WYTWORNYM BUTIKIEM* i równie wytwornymi *WALIZAMI* – w czymś takim modopolska moda wędruje ze mną „*STARYM WĘDROWCEM*” po *POLSCE*...

TO WSZYSTKO wyzwoliło te wspomnienia starego „*Wertera od mody*”...

Pozdrawiam wszystkich uśmiechniętych *WOLSZTYNIAKÓW* od moich pruszkowskich czytelników, czyli od nieco zaawansowanej w latach starszej młodzieży wśród *PRUSZKOWIAKÓW*.

P.S.

Dziękuję (zapomniałem) w litanii podziękowań modelkom w ekipie wielopokoleniowej, zgodnie z moją fascynacją modami, które były.

Panie przywróciły czerwonemu dywanowi na wybiegu blask dawnego stylu pokazywania mody, *Chic Parisien* wrócił do Wolsztyna...



**Teatr
Bagatela**

Andrzej Wyrobiec

Zapach teatru



foto. J. Papp

W rzadkich momentach, gdy Teatr Bagatela w pierwszej połowie września ma krótką przerwę urlopową, najpełniej można poczuć jego zapach. Tylko wtedy teatr pachnie wyłącznie swoją esencją. Złożona z podstawowych nut, w każdym pomieszczeniu jest inna i na tyle silna, że w ciemnościach może służyć za mapę. Zamknijcie zatem oczy i poczujcie zapach świeżego prania i rozgrzanego do granic możliwości żelazka. Lekko słodkawy, a nawet trochę mdły, przypomina dzień wielkiego prasowania w babcynym domu. To zapach garderoby, w której na wieszakach, wysoko pod sufitem, czekają gotowe na nowy sezon kostiumy.

Trochę dalej inne nuty. Uzurpujące sobie prawo do nazwania ich „eleganckimi”, wyznaczają granice pracowni charakteryzatorskiej i fryzjerskiej. Ciepły, trochę różowy zapach pudru miesza się z trudnym do identyfikacji zapachem pomad, żeli i lakierów do włosów. Znowu wywołuje nostalgiczne wspomnienia starych zakładów fryzjerskich, kiedy to czekaliśmy, aż – niesłyszcząca naszych nawoływań mama – wyjdzie wreszcie spod kosmicznie wyglądającej suszarki do włosów.

No i wreszcie jest zapach podstawowy, czyli kurz. Osiadł na zawsze w miliony razy czyszczonej kurtynie. Wbił się w praną co sezon tapicerkę bordowych foteli. Mieszka

w każdym, nawet najstaranniej sprzątanym kącie. Śpi na sztankietach i osłonach reflektorów. Kocha wykładziny i rekwizyty. I nie ma na niego sposobu...

Ta unikatowa, jedyna w swoim rodzaju woń, będąca mieszanką ciężkiego powietrza, pudru, drewna, masy dymnej, pluszu kurtyny i siedzisk, aktorskiej tremy i obecności widzów jest ekscytująca. Niesie za sobą obietnicę i nadzieję na spotkanie z emocjami i wzruszeniami. Anonsuje ulotną stabilność cowieczornego spektaklu.

Czy wiecie, że niecodzienne i fascynujące zjawisko jakim jest aromat teatru, doczekało się zamknięcia w buteleczkach perfum? Mierzą się z tą materią producenci tak znani, jak John Galliano, jak i ci zupełnie niszowi, którzy tworzą swoje kompozycje zapachowe z miłości do teatru.



foto. B. Kucharek

Adam Komorowski

Klatka poszła szukać ptaka. Glossa przedwyborcza.

U początków jest wielkie pra-oszustwo. Krak nie jest św. Jerzym, i zamiast walczyć ze smokiem, narażając własne życie, podrzuca mu naszpikowanego siarką barana. Uwolnienie następuje dzięki oszustwu. Analogicznie jest w przypadku Odyseusza uwalniającego siebie i towarzyszy od Cyklopa. Mit założycielski Krakowa, podobnie jak Europy, jest apologią podstępny, wprowadzenia w błąd, uniku.

Mitologizacji źródłowego oszustwa T.W. Adorno i M.Hokheimer poświęcili swoją „Dialektykę Oświecenia”, powszechnie nieczytaną ale uważaną za jedną z najważniejszych książek XX wieku. W dużym skrócie można powiedzieć, że autorzy związali atrakcyjność totalitaryzmów i faszyzmów z faktem, że w cywilizacji Zachodu, posłużenie się oszustwem jest nie tylko dopuszczalne ale chwalebne. Zeus, Odyseusz i Krak są emblematycznymi przykładami, że papieskie wezwanie „Prawda was wyzwoli” odnosi się ku przyszłości. Być może w przyszłości (Sądu Ostatecznego?) prawda rzeczywiście wyzwoli. Doświadczanie uczy, że w przeszłości i teraźniejszości uwolnienie następowało dzięki oszustwu i umiejętności wprowadzenia przeciwnika/obcego w błąd. Nieustająco przypominają nam o tym mity, legendy i bajki Zachodu, ale jakoś trudno prawdę o fundamentalnym znaczeniu oszustwa dla uwolnienia wspólnoty od zła/smoka zinterioryzować.

Nikogo innego kwestia oszustwa jako źródłowego fundamentu życia społecznego, nie zajmowała tak jak Franza Kafkę. Praoszustwa doszukał się już w Raju. Pisał: „Dlaczego ubolewamy nad grzechem pierworodnym? Nie z jego powodu zostaliśmy wygnani z raju, lecz z uwagi na drzewo życia. Abyśmy z niego nie jedli.” Wszechwiedzący Stwórca zastawił na Adama i Ewę pułapkę: zakaz dotyczył owoców z drzewa „złego i dobrego”, drzewo życia pozostawało w Raju nieoznaczone, a więc doskonale ukryte. Zdaniem Kafki zostaliśmy z Raju eksmitowaniu nie dlatego, że coś zjedliśmy ale byśmy przypadkiem nie zjedli czegoś innego, owocu drzewa życia. Zostaliśmy wygnani w celach profilaktycznych, a nie ukarani.

Kafka, który paradygmatyczne dla Zachodu strategie Odyseusza poddawał głębszej analizie aniżeli Adorno i Hokheimer, zwrócił uwagę na sposób w jaki udaje się mu uniknąć zniewoleniu śpiewem syren. W tym przypadku trudno mówić o oszustwie. Odyseusz nakazuje by załoga (sama zatykając woskiem uszy) jego przywiązała do masztu i pozwoliła wysłuchać Syren. Zdaniem Kafki najważniejszym było okazanie szacunku Syrenom. Podkreślenie, że nawet on, Odyseusz, nie jest na tyle mocny by nie dać uwieść ich głosom.

Urny czekają na głosy i prochy bywalców Zwisu. Syreny śpiewają. Jesteśmy w trudniejszej sytuacji od Odyseusza, nie potrafimy odróżnić Syren od ich niezliczonych naśladowców i podróbek. Nie wiemy kiedy dać się przywiązać do masztu. Dawno niewidziany w Zwisie, Marcin Świetlicki w duchu kafkowskim napisał:

„Zło odejdzie i będzie wymienione na zło. I wtedy powiedzą: zawsze byli przeciw temu złu, co odeszło. Nowe zło jest lepsze.”



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

JEŚLI KTOŚ Z NASZYCH CZYTELNIKÓW
MA ZBĘDNE EGZEMPLARZE GAZETKI
PROSIMY O PRZEKAZANIE ICH DO
REDAKCJI.

Nie wszyscy zapomnieli o naszej gazetce. Nadredaktor reprezentował jej redakcję podczas uroczystości upamiętnienia bohaterskich obrońców Westerplatte w 84 Rocznicę Wybuchu II Wojny Światowej.

Nie zapomniał o niej także „Chór Wujów” i zaprosił Nadredaktora na Jubileusz 45- lecia jego istnienia, do Klubu „Pod Jaszczurami” Nie zaproszono nas niestety na szczyt G 20 i konwencje znanych partii, tudzież na kilka innych mniej ważnych wydarzeń kulturalnych odbywających się na terenie Krakowa.

Za to zaproszono nas na uroczyste otwarcie wystawy „Sen Salvadora” autorstwa Bogdana Zimowskiego, które odbyło się w prywatnych salach wystawowych przy ul. Dunin Wąsowicza.

Z obowiązku odnotowujemy niezwykle spokojne spotkania „Nocnej Zmiany” odbywające się w atmosferze wzajemnego zrozumienia i życzliwości. A szkoda. Jak są skandaliki to jest o czym pisać!

Do południa też spokój bo turystów jak by mniej. Jednym słowem – bryndza!

W poniedziałek 11.09.br z bywalcami Vis á Vis spotkała się mieszkająca od lat poza granicami naszego kraju, córka Tadeusza Śliwiaka. Wspomnieniom nie było końca.

Jak nas poinformował jeden z bywalców księgarnia dla „podlotków” będzie otwarta jedynie do końca września – do momentu sprzedania trzech ostatnich egzemplarzy „sabałowych bajań”.

Jak wykazały badania obsługi w Vis á Vis podlega ona cyklom ruchów Ziemi – ulega w niektóre dni przyspieszeniu, a w inne spowolnieniu.

Za wsparcie naszej gazetki dziękujemy: VáV, panu Sławomirowi z Woli, panu Piotrowi (znaczk) i państwu Marii i Józefowi P. z Kielc.

Andrzej Pacuła

Co słyhać?

Zaraz po swoich 20 - tych urodzinach student filozofii Max T., otrzymał list od przyjaciela, zakończony zdawkowym pytaniem: *co słyhać?* Od tamtej pory minęło sześćdziesiąt lat. Nadawca listu już dawno zmarł, a adresat został profesorem i międzynarodowym autorytetem w dziedzinie fenomenologii post - husserlowskiej, neo - kantyizmu czytanego przez Heideggera i Heideggera czytanego przez Levinasa. W jego pracowni, na monumentalnym biurku, zastawionym książkami, stertami rękopisów, brulionami z notatkami, szkicami, wykładami i innymi rękopisami nadal leży, nieco już pożółkły list z lat studenckich - wciąż bez odpowiedzi. Gigant współczesnej filozofii, zapełniający półki najważniejszych bibliotek świata wyrafinowanymi dziełami, wykładający najbardziej zawile zagadnienia post- filozofii w sposób zrozumiały nie tylko dla studentów, ale nawet dla innych filozofów, wciąż rozmyśla: jak odpowiedzieć na pytanie: *co słyhać?*

I pewnego dnia, dzień po swoich osiemdziesiątych urodzinach, świtem, jak to miał w zwyczaju, usiadł przy biurku i rozpoczął pracę nad traktatem o roboczym tytule: *Jak odpowiedzieć na pytanie: co słyhać? Ergo: czy to jest pytanie, a jeśli jest, to czy semantyczna nieokreśloność i banalność, wymusza równie nieokreśloną i banalną odpowiedź, czy też przeciwnie - odpowiedź możliwie określoną, logicznie uzasadnioną i empirycznie sprawdzalną. Item: czy odpowiedź na pytanie - "co słyhać?" - jest w ogóle możliwa?*

Po roku, kiedy traktat miał już 666 stron filozof uznał z powściągliwym zadowoleniem, że wyczerpał temat. Napisał na ostatniej karcie słowo: *koniec* i podpisał rękopis. Chwilę później jego głowa opadła ciężko na biurko.

Czuwający w sąsiednim gabinecie sekretarz uczonego, w wolnych chwilach agent tajnych służb, nie miał problemów z odczytaniem i przepisaniem rękopisu na podręcznym komputerze i tę kopię zachował dla siebie. Natomiast rękopis przekazał do tajnego archiwum swojej centrali wywiadowczej.

Niebezpieczna to bowiem może być wiedza, poznanie odpowiedzi na pytanie: *co słyhać?* I nie może trafić do ludzi nieprzygotowanych do pojęcia tajemnicy istnienia.

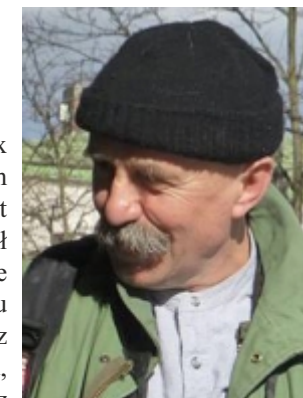



foto. B. Kucharek

Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów

	<div style="border: 1px solid black; padding: 2px; display: inline-block;">Andrzej Dyga</div>	Kontakt: Pólecza Vis á Vis, www.zvis.pl zwisrynek@gmail.com
	materiały: Bogusław Kucharek, skład i współpraca: Bogdan Zimowski	
	korekta: Andrzej Kowalski sekretarz redakcji: Magda Konopska	



visaviskrakow